**Nr. 10.** Lwów dnia 6. Kwietnia 1872. **Rok I.**

**Wychodzi w każdą Sobotę.**
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 zlr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 zlr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

# ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „Świecie" wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych

## TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.



## O satyrykach polskich XVII wieku,

studyum literackie

przez

**Dr. Adama Bełcikowskiego.**

(Ciąg dalszy.)

W jego satyrach jednakowoż nie widać bynajmniej nic obcego i nienarodowego; owszem zna on na wylot naturę swej współbraci szlachty, ich słabości, wady i przywary, a każda postać przez niego skreślona jest pełna naturalnej prawdy. Chcąc zaś oddać rzeczy z podobną plastycznością i tak zgodnie z rzeczywistością, potrzeba mieć zmysł i poczucie do ich zrozumienia. Dlatego policzylibyśmy Opalińskiego do rzędu często podówczas napotykanych ludzi, którzy ulegając zagranicznej cywilizacyi i przeobrażając się w niejednym względzie pod jej wpływem, zachowywali mimo to grunt swego charakteru takim, jakim go utworzyła natura właściwa ich społeczeństwu. Ludzie tacy przejmowali z zagranicznych wzorów zewnętrzną ogładę, przejmowali się postępowemi pojęciami, obcemi wyobrażeniami o polityce, o formie rządu itp., ale w swych zwyczajach, w usposobieniu moralnem, w życiu powszedniem pozostawali niezmienni i ztąd ich postępki, ich sposób życia w rażącej nieraz były sprzeczności z wygłaszanemi przez usta zasadami.

W ten sposób tłumaczymy sobie pogląd Opalińskiego na stosunki krajowe, a zarazem jakim sposobem, mając głowę pełną wyobrażeń gdzieindziej zaczerpniętych, zdołał tak trafnie pojmować i oddać w obrazach swych satyr świat najbliżej go otaczający. Wykształceniem, polorem zewnętrznym magnat nawpół scudzoziemczony, sercem i nawyknieniami był szlachcicem XVII wieku jak tylu innych. Ztąd łatwo mu było pochwycić charakter i koloryt swej epoki, a zwłaszcza ludzi swego stanu. Zna on wybornie naturę i wady ówczesnej szlachty, ludzi wojskowych, dworaków, z prawdą i bezwątpienia z żyjących wzorów kreśli rozmaite ułomności moralne, przedstawiając udanych świętoszków, dewotki, przesadne elegantki, marnotrawnych synów, obłudnych przyjaciół, niepozbytych niczem natrętów itp.

Ale pomimo tego ten właśnie rodzaj satyr, gdzie opisuje stosunki życia prywatnego, największą zdaje się grzeszyć przesadą. Bo znając charakter naszej przeszłości i narodu, śmiało możemy twierdzić, że lubo w owych czasach wiele było zbytku, nierozsądnego naśladownictwa obczyzny w strojach i zwyczajach, wiele pijackich bankietów i wiele nawet poziomej podłości, jednakże pewnie ówcześni mężowie nie truli dla posagu swoich żon arszenikiem, ani ojcowie z obawy przed chciwością synów nie potrzebowali zażywać mitrydatowego antidotum.

Daleko prędzej może nas przekonać Opaliński, że jest prawdą to, co powiedział o politycznym stanie Rpltej—jak wspomnieliśmy, może pod tym względem powołać się na świadectwo historyi. Nie on pierwszy powstawał na tego rodzaju błędy, wyprzedzili go w tem ludzie znanej prawości i wielkiej używający sławy, jak ów mądry Jan Ostroróg, jeszcze za Kazimierza Jagiellończyka piszący o naprawie Rpltej, albo Mikołaj Rej, pełen uczucia i serdeczności. W samym Opalińskim nawet widać, że brał na seryo swój urząd Katona Cenzora i wytykając występki publiczne i niedbałość o powszechne dobro, przejęty był żywo tym nieszczęsnym stanem i szczerze pragnął złe wykorzenić. W tych Satyrach porzuca on nawet niekiedy zwyczajny sobie ton ostry, pozbywa się żółci i bez żadnego afektu, z prozaicznym chłodem statysty lub ekonoma politycznego, rozbiera te ważne dla kraju kwestye. Z tego powodu niektóre satyry tego rodzaju wyglądają prawie jakby naukowe jakieś rozprawy. W innych znowu, które pisze w zwykłem sobie rozgorączkowanem i namiętnem usposobieniu, czuć wyraźnie, że zapominał choć chwilowo swej osobistości i prywatnych pasyi, a jedynie chęć publicznego dobra, i gorąca żądza poprawy narodu jego ręką kierowała. Czuć nieraz, powtarzam, że mocniej bije mu serce na myśl obecnego upadku a dawnych złotych i szczęśliwych czasów. Wtedy pomimo tkwiącej w nim osobistej urazy,

pomimo niechęci do swojskich ustaw i zwyczajów i przyznawania obczyźnie wyższości, z gorącem uczuciem zwraca się ku ideałowi przeszłości i swemu polskiemu sercu daje przewagę nad wykształconą obcemi wyobrażeniami głową.

Z tych to przyczyn, że Opaliński pomimo braku wyższej sztuki, dowiódł jednak w swych satyrach wielkich zdolności poetycznych, kiedy potrafił nadać im życie i niezwykłą nawet plastyczność, jakoteż iż pomimo przesady i żółci rozlanej po jego dziele, sprawiedliwie wytykał błędy spółziomków i wiele rzeczywiście mądrych rad udzielał, satyry jego, obudzające z jednej strony nienawiść i oburzenie na swego autora, zjednały mu z drugiej rozgłośne imię w naszej literaturze, a nawet zyskały uznanie tych, którzy jego osobę potępili. Szajnocha naprzykład, wykazawszy niegodne postępki Opalińskiego w życiu politycznem, powiada o jego książce: „jest ona jedyną po nim spuścizną, która może obudzić w nas żal prawdziwy, że publiczne życie autora tak fałszywy wzięło kierunek.“

Tej książce także ma Opaliński zawdzięczyć w największej części tę niekorzystną sławę, która cięży na jego pamięci... De Noyers, sekretarz królowej Maryi Ludwiki, pisząc o jego śmierci zaszłej 9 Stycznia 1656 roku powiada, że Opaliński „umarł nagle wydając wielki krzyk...“ Podobnym krzykiem, ale wydanym przez duszę, była jego książka. Jego głośne i przenikliwe brzmienie zwróciło na Opalińskiego uwagę potomności...

Przy tem, co napisano o nim na kartach historyi, byłby pozostał mniej znanym, nie tak sławnym, ale zapewne byłby policzony między tych poważnych senatorów, którzy nie odznaczyli się wprawdzie wielkimi czynami oręża, ani świetnym geniuszem w pokoju, ale stali przy tronie jako jego podpory i czcigodni ojcowie narodu. Satyry wyłączyły Opalińskiego z tej ciżby, znacznej tylko przez liczbę i powagę stanu, ale uczyniwszy go rozgłośnym, przydały do tej świetności i cień złej sławy.

I dzisiaj więc pozostaje Opaliński jak przedtem w półcieniu i w półświetle. Ale nie pochodzi to już z niedokładnej znajomości tej postaci, nie z braku wiadomości o niej, tylko wypływa z natury jego charakteru i stanowiska w przeszłości. Człowiek ten był w życiu sprzecznością dla innych, a nieraz i sam dla siebie — z tej przyczyny pozostał i dla nas dwulicowym, dwójznacznym i wątpliwym, wzbudzającym zarówno szacunek i uznanie, jak odrazę i niewiarę. Nie można mieć dla niego sympatyi, jaka otacza przez długie wieki wielu z naszych pisarzy, ale także nie można odmówić szacunku jego zdolności, bystremu wzrokowi i gorącemu nieraz sercu. Człowiek ten zresztą nie stoi osamotniony w swej epoce. Chcąc go dobrze zrozumieć, trzeba go uważać na tle swojego czasu i w gronie podobnych do niego postaci; trzeba sobie przypomnieć, że właśnie pod owe czasy Radziejowski za osobistą krzywdę i obrazę mścił się naprowadzeniem na Polskę króla Szwedzkiego; że wówczas żył Jerzy Lubomirski, używający zrazu wielkiej sławy, otoczony wielką czcią i obsypany zaszczytami dla usług oddanych Rpltej i tronowi, a następnie rokoszanin rzucający się na króla i niszczący w domowej wojnie zbawienne dla Polski zamysły i nadzieje; że to jest czas wreszcie takich ludzi jak Hieronim albo Andrzej Morsztyn, którzy przejąwszy się duchem zagranicznym, lekceważyli narodowy obyczaj i ojczyste ustawy i pragnęliby byli inny pozór nadać życiu społecznemu i inną formę urządzeniom krajowym, choć ich osobiste uczucia i usposobienie nieraz się tym szeroko zakreślonym planom sprzeciwiały. W ogóle jest to czas dażących do upatrzonego celu własnym swym torem osobistości, jakie wydać może oligarchia biorąca nad innymi stanami przewagę—i czas nowatorów, którzy w powszechnem rozstrojeniu i nieładzie gotowi się chwycić nie zawsze nawet odpowiednich i zbawiennych środków, byle tylko choć gwałtownem lekarstwem zapobiedz niebezpieczeństwu chwili. Ludzie tacy w obec sądu swojego czasu i potomności, mają zawsze pewne słabe strony na sobie i nie mogą wyrosnąć na jednolite, posągowe postacie, w jakich przed oczami późniejszych wieków stają bohaterowie narodowi. Najczęściej tą słabą stroną psującą wrażenie ich rzeczywistych zasług bywa osobista jakaś namiętność... Do takich ludzi swej epoki należy Opaliński, podobny do nich jako ambitny obywatel i jako niezadowolniony z istniejącego stanu nowator.

(Dok. n.)

---

# W KRAINIE SZTUKI,

**prolog alegoryczny**

przez

BRONISŁAWA ZAWADZKIEGO.

(Dokończenie.)

**Scena druga.**

*Muzyka zmienia melodyę i wyraża zbliżanie się powietrznego zjawiska. W grupie uczniów trwoga i zachwycenie.*

**SPIEW.**

UCZEŃ PIERWSZY: Lecz któż to zbliża się
Zwinięty w śrebrnej mgle,
Zapachem tchnący róż,
W twarzy ma uśmiech zórz,
Z niebiańskich płynie wrót?

CHÓR: To cud! to cud! to cud!

**DRAMAT.**

*W obłoku płynie postać alegoryczna: „Komedya“ w kostiumie Muzy greckiej przy towarzyszeniu muzyki i zatrzymuje się nad grupą.*

KOMEDYA: Jestem Komedyą! piastunką śmiechu
I lekkich wzruszeń królową,
Piętno śmieszności kładę na grzechu,
Satyra moją osnową.
A wy ze ziemskich dolin przybysze
Niesiecie jakie nowości?
Z mojego tronu niechaj usłyszę
Pragnienia waszej młodości.

UCZEŃ DRUGI: My Tobie służyć pragniemy szczerze,
Patrz! święty zapał nas wieńczy!
Niesiemy sztuce w chętnej ofierze
Cały nasz zapał młodzieńczy!
Fantazya nasza w błękity gnana
Obłocznych dostaje skrzydeł,
Tylko nam odsłoń, Muzo świetlana,
Zagadkę Twoich prawideł!

KOMEDYA: Niechaj wam prawda natury będzie
Jasną mistrzynią w podróży,
Tylko natura zawsze i wszędzie
Podoba się i nie nuży.

Wszak to jest moją wieczną istotą
Być życia prawdziwem echem,
Jego posępność z wdzięczną ochotą
Zaprawiać wesołym śmiechem.
Więc zawsze z twarzą jasną, pogodną
Roztrząsam te ziemskie sprawy,
Naganą błędy karcę łagodną
I wszelki zamiar nieprawy.
Odkrywam ludzkiej duszy słabości
Znamieniem wstydu je znaczę,
A w obec takiej grzechu nagości
Niekiedy we śmiechu płaczę.
Toż dla artystów wyżej patrzących
Niedość publikę zabawiać,
Ale potrzeba ludzi śmiejących
Komedyą z grzechu poprawiać.
Kapłańskie musi mieć namaszczenie
I białą szatę na duchu,
Kto pragnie sztuką wywrzeć wrażenie
I znaleść chętnych do słuchu.
Dla takich celów, o plemię młode,
Do mojej służby cię wzywam,
Na skroń twą zlewam kastalską wodę
A sama w mgle się rozpływam.

**SPIEW.**

CHÓR: U twych ołtarzów czoło skłaniamy
Na wierną służbę ci przysięgamy
Nasza królowo!

*Wszyscy pochylają czoła — „Komedya“ przesyłając im ręką pożegnanie odpływa. Muzyka wyraża oddalanie się powietrznego zjawiska, poczem przechodzi w tempo wesela i tryumfu.*

CHÓR: Uderzmy w hymn wesela,
Bo wysłuchano nas,
bis { Kto tryumf nasz podziela,
Niech spiew zanuci wraz!
O! jakiż szał wesela
Przejmuje dzisiaj nas,
bis { Kto tryumf nasz podziela
Niech spiew zanuci wraz!

## Scena trzecia.

*Muzyka zmienia melodyę i wyraża zbliżanie się powietrznego zjawiska. W grupie uczniów trwoga i zachwycenie.*

**SPIEW.**

UCZEŃ PIERWEZY: Lecz któż to zbliża się
Zwinięty w srebrnej mgle,
Z nim płyną fale brzmień
I Archanielskich pień,
Czy to fantazyi płód?

CHÓR: To cud! to cud! to cud!

*W obłoku płynie postać alegoryczna „Muzyka“ w kostiumie Muzy greckiej przy towarzyszeniu orkiestry i zatrzymuje się nad grupą uczniów.*

MUZYKA: Muzyką jestem, świętą, przeczystą
Królową w świecie harmonii,
Snuję się wstęgą tonów srebrzystą
Po światów bezbrzeżnej toni.
A wy przybysze z ziemskiej krainy
Niesiecie jakie nowości?
Czyliście weszli w sztuki dziedziny,
By hołd wykonać piękności?

UCZEŃ DRUGI: My Tobie służyć pragniemy szczerze,
Patrz! święty zapał nas wieńczy!
Niesiemy sztuce w chętnej ofierze
Cały nasz ogień młodzieńczy!
Tylko nam odsłoń z mgły tajemniczej
Swą bezcielesną istotę,
Daj Twe melodye pojąć słowicze
I tonów piorunne zwroty.

MUZYKA: Ja jestem cichym ducha pogwarem
I echem jego miłości,
Nieokreślonym poję was czarem
Jakiejś nieziemskiej błogości.
Co tylko w duszy drgnie wam uczuciem,
To zaraz przelewam w dźwięki
I tak serdecznej melodyi snuciem
Powtarzam te ludzkie jęki.
Natchnienie spływa w samotnej ciszy
Nie w świata pijanym gwarze,
Ten jest artystą, który dosłyszy
Jak lilia nad wodą marzy.
Artysta niechaj skupia się w sobie
I z serca snuje pieśń życia,
A ja go mistrzem natchnionym zrobię,
Na blask wywiodę z ukrycia.
Wtedy on będzie sztuką wywierał
Czyste wrażenia na duszy
I w serc przepaście będzie zazierał,
Śpiące tam siły poruszy.
I wtedy zagrzmi spiewak-artysta
Pieśnią Marsylii przed ludem,
A on jak lawa buchnie ognista,
Tyranów przerazi cudem.
Dla takich celów, o plemię młode,
Ku mojej służbie cię wzywam
Na skroń twą zlewam kastalską wodę
A sama w mgle się rozpływam.

**SPIEW.**

CHÓR: U twych ołtarzów czoło skłaniamy,
Na wierną służbę ci przysięgamy,
Nasza królowo!

*Wszyscy pochylają czoła — „Muzyka“ przesyłając im ręką pożegnanie odpływa. Orkiestra wyraża oddalanie się powietrznego zjawiska, poczem przechodzi w tempo wesela i tryumfu.*

CHÓR: Uderzmy w hymn wesela,
Bo wysłuchano nas,
bis { Kto tryumf nasz podziela,
Niech spiew zanuci wraz!
O! jakiż szał wesela
Przejmuje dzisiaj nas,
bis { Kto tryumf nasz podziela,
Niech spiew zanuci wraz!

## Scena czwarta.

**DRAMAT.**

UCZEŃ DRUGI: A więc jesteśmy odtąd przyjęci
W szeregi wyznawców sztuki,
Toż w niezatartej miejmy pamięci
Te wzniosłe Bogiń nauki!

*(Muzyka odzywa się z cicha smętną melodyą.)*

Lecz jakaż do nas jeszcze się zbliża
Niewiasta czarno ubrana,
Twarz swą ku ziemi posępnie zniża
I cała łzami zalana.
Umiejmy cenić rozpacz milczącą
I stańmy tu w smutnem gronie,
A ja uproszę tę bolejącą,
Że nam swe żale odsłoni.

## Scena piąta.

*Uczniowie stają w półkolu. Od lewej strony wchodzi „Geniusz historyi“ w postaci kobiety ubranej żałobnie z gałązką cyprysu w dłoni. Muzyka umilkła.*

UCZEŃ: Nieznana Pani! gorzko płacząca
W ogrodzie sztuki promiennym,
Zkąd na cię płynie boleść patrząca
Takim wyrazem trumiennym?
Powiedz nam z czyjej to cierpisz winy
I czemu łzy takie lejesz?
My osłodzimy twoje godziny
I jeszcze się roześmiejesz.

GENIUSZ HISTORYI:

Jestem historyą! mam łzawe źrenice,
Wyrazy łkaniem przerywam,
W czarny ten rąbek nieśmiałe swe lice
Przed klątwą ludów okrywam.
Ja byłam nieraz demonem zniszczenia
Sama rodziłam tyrany,
Z mojego niegdyś rośli pokolenia
Atylle i Dżengischany.
Lecz ja wiedziałam, że światu potrzeba
Przez ciernie wić się i głogi,
Że codziennego trza skąpić mu chleba,
Żelazem kaleczyć nogi.

*

Bo ludzkość trudem Cyklopów żyć lubi,
A jeźli łatwą jest praca,
To wnet w spokoju bezczynnym się gubi
I wstecz swe kroki nawraca.
Lecz ulegałam słodkiemu widzeniu,
Że raz jej dusza się skąpie
W cywilizacyi łagodnym promieniu
I wiek pokoju nastąpi.
Pragnęłam wszystkie plemiona walczące
Węzłem skojarzyć miłości,
Potem w miliony spokojnie żyjące
Rzucić ideał wolności.
Aż oto patrzcie jako się ziściły *)
Te złudne sny mojej duszy,
Gdzie wzrokiem rzucę, tam sterczą mogiły.
I zamieć szkieletów prószy.
W krwi się zanurzył naród myślicieli,
Jak szakal wyszedł na zbrodnie
I wszystkie zgasił w zniszczenia topieli
Cywilizacyi pochodnie.
Więc jako geniusz historyi zawodzę
Nad taką ducha ruiną
I w niej sromocie bezwładna uchodzę
Ku jasnym sztuki dziedzinom.
Szukam siedziby rozpaczą gnana
W krainie marzeń i tęczy,
Bo tam z popiołem człowieka zmięszana
Ziemia pod nogą mi jęczy.
Dlatego stoję wśród waszej drużyny
W źrenicy tak rozłzawiona,
Zrzuciłam dawne ze skroni wawrzyny
I noszę cyprys u łona.
Wy mię, artyści, przyjmijcie do siebie
I wierzcie w moje nauki,
Ja z dziejów złote wam ziarna wygrzebię,
Jako pierwiastek dla sztuki.
Wszakżem ja tyle posłała w świat synów,
Którzy są chwałą ludzkości,
Wypiastowałam szereg wielkich czynów
I siałam ziarno miłości.
Dlatego jestem godną tej nagrody,
By sztuka ze mnie czerpała
I ludzkich uczuć beznamiętne chłody
Przy mojem ognisku grzała!

**SPIEW.**

CHÓR: Bądź pozdrowiona
Muzo natchniona,
My Ciebie wielbić będziemy
I za Twe słowo,
Czasów królowo,
Głęboki pokłon Ci szlemy.

*Wszyscy pochylają czoła — „Geniusz historyi“ szląc ręką podziękowanie, odchodzi poważnie w prawo.*

**FINALE.**

**SPIEW.**

CHÓR: Kapłanko! otwórz nam
Podwoje świętych bram,
Błagamy Cię spragnieni
My sztuce poświęceni.

*Otwierają się drzwi świątyni; na progu stoi „Kapłanka sztuki“ w stroju greckim; nad jej głową błękitny płomień.*

KAPŁANKA: Już są otwarte wam
Podwoje świętych bram,
Zbliżcie się do świątyni
Wy, sztuce poświęceni.

CHÓR: Za tak radosną wieść
Niech na Cię spływa cześć
I sława,
I sława,
Niech na Cię spływa cześć
Za tak radosną wieść.

*(Powyższe słowa chóru stanowią temat dla dowolnej kompozycyi muzycznej.*

*Uczniowie stają na wschodach świątyni. Grupa oświecona błękitnym ogniem.*

*Zasłona spada.*

KONIEC.

*) Pisane po wojnie francusko-niemieckiej.

---

# KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

## VIII.

Silvo dalej o swoich przygodach opowiada.

Tu się cny narrator zatrzymał, poruszony do głębi wspomnieniem wywołanem z przeszłości. Zawieszone w niespokojnem oczekiwaniu katastrofy grono słuchaczy milczało. Lot muchy nie zataiłby się w całej przestrzeni galeryi. Tak przebiegło kilka minut. W końcu odezwał się znowu głos Silvy dalszym ciągiem opowiadania.

— Wszedłem na palcach—mówił dalej staruszek—i stanąłem nad nim. W sercu kipiała zemsta — w dłoni cisnąłem sztylet — w zamiarze niosłem zbrodnię. Alem był jeszcze bardzo młody, niewinny, nieobyty nietylko z widokiem lecz nawet z pojęciem zbrodni. Wrodzona szlachetność wzdrygała się we mnie w obec myśli, z jaką przestąpiłem próg Dom Alvara, z jaką nad łożem jego stanąłem. On spał spokojnie pod opieką wieczornej modlitwy, zapewne pod opieką boską. On spał, a więc był bezbronnym jak dziecko—miałżebym ja, chrześcyanin i potomek krwi zacnej godzić na jego życie, jak podły zbójca nie stawiąc własnego życia na szalę? Grzech, hańba, rozpacz, potępienie, owe straszliwe widziadła sumienia, powstały nagle przed oczyma duszy mojej karcące, groźne, nieubłagane! Strach i zgroza przejęły mię do szpiku kości. Serce zadrgało spazmem bolesnym. Sztylet wypadł z ujęcia. Wybiegłem z komnaty—wybiegłem z domu—jak? i którędy? nie wiem, bo się drzwi na noc kluczem zamykały. Biegłem bez zamiaru—dokąd? i po co? zdać sobie sprawy nie mogłem. Coś pędziło mię naprzód przez ulice, zaułki, place—coś nagliło, ciągnęło, jakby mię anioł stróż uwodził od złej pokusy, od występnego czynu, od wiecznej hańby i męki! Noc była czarna, głucha, złowroga. Z wąwozów Alpuxary wiało chłodem i gwarem przestrzeni. Tonie Darro szumiały w swem łożysku z kamienia. Szmer drzew, skrzydłem powiewów Sierry poruszonych, płynął gdyby westchnienie natury nad uspioną Grenadą. Lecz nad wszystkie te szumy, brzmienia i szelesty głośniej uderzały pulsa skroni mojej pałającej i tętna wzburzonego łona. Czułem że mi krew żyły rozsadzi, że fibry mózgu pękną gdyby wątłe nici, że się serce rozpadnie na poły. Nie wiem, traf ślepy czyli zbawienny instynkt (bo nie wiedziałem co czynię) skierował bieg mój gorączkowy ku Alhambrze. Spojrzałem—w osłonie mroków ponurych majaczą przedemną swojskie, domowe, poufne mury i baszty tej

opustoszałej monarchów siedziby. Wieże Komares i Vermejas patrzą na mnie z wysoka—na mnie, którego wypielęgnowały od kolebki i zdają się wzywać do siebie uprzejmie. Gdym przekroczył wchodową bramę i wszedł na podwórze lwów, zefiry Ženeralifu otoczyły mię powiewnym orszakiem i oblały balsamów powodzią. Zdroje i strumienie ozwały się przyjacielskim szmerem, a laury, sykomory i cytryny, w których cieniu żyłem szczęśliwy i rosłem, powitały szelestem swych liści biednego wychowanka swego. Wielka dusza Alhambry owionęła mię zewsząd i doznałem ulgi. Lżej mi się jakoś robiło, spokojniej, weselej. Z gorączkowej plątaniny wrażeń i myśli zacząłem snuć nić białą rozumniejszych poglądów i zdrowszego sądu o rzeczy. Pocóż ten zamęt wewnętrzny?—myślałem—wszakem niepostradał niewinności mojej? żadnąm się zbrodnią nie splamił? Przeciwnie, zdeptałem występne porywy zemsty—wyszedłem zwycięzko z walki chwalebnej—pozostałem czystym jak przedtem. Zamiast tedy nękać siebie boleśnie, cieszyć się raczej powinienem—zamiast rumienić się w obec sumienia odwołać się śmiało do jego świadectwa... „Uśnij spokojnie“ — wyrzekło ono — „albowiem nie mam tobie nic do wyrzucenia! Na te błogie słowa uciszyła się cudem burza wewnętrzna. Życie duchowe odzyskało dawną równowagę i pogodę. Ostygły skronie. Zwolniały tętna łona i senność rozkoszna pełna mar i zjawisk feerycznych owiała całe jestestwo moje u stóp Cyprysu Sułtanki szemrzącego o dawnej świetności Alhambry zaczarowanym ogrodom Ženeralifu.

Słońce było już wysoko, kiedym ze świata marzeń powrócił na świat rzeczywistości. Nie wyrażę radości, jakiej doznałem w chwili przebudzenia. Po roku ciężkiej niewoli .pierwsze to było we mnie poczucie swobody szerokiej, nieokreślonej, w słońcu i balsamach tonącej—swobody, nad którę po Bogu i rodzicach nic dla mnie świętszego i droższego nie istniało na ziemi. Po ciemnych i nagich salach Alkazaru zaledwie dziennemu światłu dostępnych, jakże mi się wydały uroczymi te jasne smugi kwiatów barwistych, co się bogatym haftem na tle zielonem łąk Ženeralifu roztaczały! A te mnogostrojne śpiewy ptasząt! te brzęki owadów wesołymi roje igrających w eterze! te ruchome tęcze motyli ze złota, rubinów, opali! wszystko to wprawiało mię w zachwyt nieopisany, powiększony jeszcze kontrastem całorocznego mego pustelnictwa w mroku, niewoli i milczeniu!

Zamiarem moim było zrazu udać się pod opiekę rodziców i błagać ich o inne urządzenie losu mego, mniej sprzeczne z powołaniem mojem i na mniej dotkliwe wystawiające próby. Żebym tak postąpił, wielebym zapewne im i sobie oszczędził boleści. Lecz mię od tego kroku odwiodła obawa wpaść znowu w szpony Dom Alvara—obawa niepłonna wcale, albowiem wiedziałem dobrze, jak wysokiej powagi używał on w opinii matki mojej i jakiej czci był z jej strony przedmiotem. Nie ma wątpliwości, że skorobym się ukazał w domu, znowu by mię odprowadzono do Alkazaru i nie zważając na skargi i błaganie moje, na pastwę dostojnego pedagoga oddano. Cóż mi zatem zostawało, powiedzcie, jak nie ucieczka? jak nie sieroce tułactwo, smutne, boleśne, to prawda, lecz daleko znośniejsze niżeli ta dola jaką mi gotowano pod ferułą człowieka wstrętnego naturze mojej, człowieka, którego całą mocą duszy nienawidziłem jako żywe narzędzie fanatyzmu, ciemnoty, gwałtu i prześladowania? Ta moja ucieczka tem więcej jeszcze była konieczną, że oddalając mię od Dom Alvara czyniła tem samem bezskutecznemi złe poduszczenia zemsty i ocalała nieskazitelność sumienia mego w obec Boga, ludzi i prawa.

W Kordubie mieszkał o tej porze jakiś krewniak mego ojca, o którym rodzice moi nierzadko z sobą rozmawiali. Z ich to słów dowiedziałem się, że był człowiekiem dzielnym, uczciwym, ekscentrycznym i namiętnie miłującym morskie podróże, których odbyl niemało w swem życiu. Nazywał się Don Perez Vasconvallos, a ród swój wywodził od jednego z towarzyszy nieśmiertelnej pamięci Don Pelaja, *) najdzielniejszego z królów Asturyi gotskiej dynastyi. Do niego to postanowiłem ja udać się pod opiekę. Jak? z kim? którędy? mniejsza! Nie posiadałem ani pieniędzy dla najęcia przewodnika, ani wiadomości miejsc leżących w kierunku przedsięwziętej pielgrzymki — lecz za to miałem wielki zapas młodości, zdrowia, odwagi, a co większa, wiary w życie i nadziei potęgujących tę wiarę.

Trzy są sposoby dostania się z Grenady do Korduby. Albo trzeba cofnąć się o 30 mil aż do wielkiego gościńca wiodącego przez Baïlen do Madrytu i Sewilli, albo się puścić ścieżką mulników na Malagę robiąc 20 mil kręgu, albo nakoniec, jeżeli komuś całość karku zawadza, sadzić wprost przez góry i przepaście torem orła, antilopy i bandollera, *[1]) tych jedynych pielgrzymów dzikiej skalistej pustyni Alpuxary i Sierry Nevady.

Szczegóły te nie były mi wtedy wiadome. Należały one wyłącznie do topograficznej biegłości doświadczeńszych odemnie turystów. Sam tedy nie wiedziałem co począć. Przypomniałem sobie na szczęście, że na pobliskim placu mieszkał we własnym domu stary mulnik Antonio Pimente (wieść głosiła że kontrabandysta), z którego synalkiem kolegowałem w Seminaryum. Pobiegłem doń skwapliwie, a znalazłszy go uprzejmym i przychylnym prosiłem o radę, jak? i którędy? miałem iść do Korduby?

Zamyślał się głęboko poczciwy Antonio. Długo bezgłośnym monologiem usta swoje poruszał. W końcu puścił kilka kręgów dymu i rzekł:

— *Dios guarde à usted!* Idź wprost przez góry. To droga najkrótsza. Trzeba siły — lecz ty masz ją. Trzeba także odwagi—czyżbyś jej nie miał? Tyś młody—a gdzież przeszkoda dla młodości? Nie ma jej nigdzie i nigdy! Wiem ja to dobrze, bo i sam byłem przecież młodym kiedyś. Otóż słuchaj bacznie słów moich. Kiedy wyjdziesz odemnie trzymaj się kierunku Alamedy, której zielone aleje ciągną się po nad brzegiem Darro. Potem przebiegnij Vegę i zapadnij w góry koło ruiny maurytańskiego zameczyska. Za mostem de los Pinos natrafisz na dawne szlaki, którymi przez całe trzy wieki zwykła Korduba iść wojną na Grenadę i wzajem Grenada ciągnęła zbrojno na Kordubę. Zwaliska Atalajów *[2]) będą przewodnikami twymi. Gdzie się ukażą, idź tamtędy. Kiedy miniesz starą wieżę Torre de los Moros trafisz na osadę Puente de Pinos. Potem ujrzysz wielki zamek na górze, to będzie Alkala. Tam jest wygodna Posada, *[3]) w której posadero—poczciwy Gilberto, mój dawny przyjaciel. On cię nakarmi i napoi. Z Alkali przyjdziesz do Baëny, a z Baëny nie więcej jak pół dnia drogi do Korduby. Jeżelibyś napotkał jakiego arrierosa *[4]) powiedz mu: *vaya usted con Dios!* *[5]) idź dalej i nie wdawaj się z nim w rozmowę. Złych ludzi trzeba

---

*) Pelage francuskich dziejopisarzy.

*[1]) Bandyta — kontrabandysta.

*[2]) Wieże strażnicze Maurów.

*[3]) Dom zajezdny — posadero gospodarz takiego domu.

*[4]) Arriero, bandyta.

*[5]) Jedź z Bogiem.

unikać. Oto masz kilka maravedis na drogę, oddasz kiedy będziesz mógł. „*Dios guarde à usted!*"

Oświadczywszy mu wdzięczność moją wyszedłem i wkrótce biegłem już cienistemi alejami Alamedy w kierunku przez Antonia wskazanym. Za zielonym obszarem Vegi kręto się wyginał wąwóz głęboki, dziki, złowrogi, nawodzący myśl o wnijściu do piekła Virgilego lub Danta. Groźne słowa: *Lasciate ogni speranza!* zdawały się płonąć jaskrawo nad tem miejscem, kędy rozpaczy tylko i zbrodni stąpać przystało.

Smutno mi się zrobiło. Boleścią zakipiało serce. Wstrzymałem kroku i spojrzałem nazad. Poorane wiekiem i żałobą omglone czoło Alhambry tęskno się zwracało ku mnie. Wieże i baszty twierdzy Alamara*) żegnały ze współczuciem wychowanka swego. Zdawało mi się nawet, że szmer pożegnalny drzew Abayzinu i Zeneralifu dolatywał do mnie przez obszary.

Gdym ze szczytów opuścił w dół wejrzenie moje ujrzałem część ściany rodzicielskiego mieszkania. Coś białego jakby postać matki mignęło w oknie. Tak, to musiała być ona! Śledziła przestrzeń zapewne ażali nie ujrzy gdzie syna, co w taki nieprzewidziany sposób zadał kłam jej macierzyńskim nadziejom. O! gdyby nie ten bezecny Dom Alvaro, pozostałbym z nią wiecznie! nie zasmuciłbym jej ucieczką! usiłowałbym nieść ulgę jej sercu i pociechę! bom kochał matkę, kochał dobrego ojca mego! Całe jestestwo moje rwało się do nich napowrót i uległbym z rozkoszą temu pociągowi duszy, gdybym nie trącił nagle źrenicą o gmach ponury Alkazaru, co zdawał się grozić mi zdaleka powtórzeniem tych samych cierpień i obelg, które mię do ucieczki pobudziły. O! nie! pomyślałem. Los wyrzekł! Niech się wyrok jego dopełni! Nie dla mnie cieśnie i mroki Alkazaru! Dla mnie świat cały — to jest przestwór i słońce! ruch i wola! Dalej więc! dalej! kędy oczy poniosą!... I wbiegłem do wąwozu — i długo pędziłem skalistym torem ścieżek i manowców Alpuxary, jakby uciekając przed pogonią groźnej jakiejś i straszliwej potęgi.

Trzy dni trwała mozolna i awanturnicza pielgrzymka moja do Korduby. Wstąpiłem do niej moralnie i fizycznie znękany. Dzień przechylał się za południe. Upał był nieznośny. Poszedłem na brzeg Gwadalkwiwiru i usiadłszy na głazie w cieniu rozłożystej pomarańczy wciągałem w siebie z rozkoszą świeżość wód żywych rzeki i przelotnych tchnień Sierry Moreny. Ta chwila spoczynku była dla mnie koniecznością. Głód i znużenie wprawiły mię w stan takiej niemocy, że się ledwie ruszyć mogłem. I na duszy działo się nie lepiej. I na sumieniu nie było lekko. Trapiła mię niepewność, co pomyśli o mnie Don Perez Vasconvallos? i jakiego doznam od niego przyjęcia? Dotkliwiej jeszcze trapiła mię boleść rodziców moich a smutne ich oblicza przedstawiały się coraz wyraźniej oczom moim z gorzkim wyrzutem i z rzewną sercową skargą.

Wśród tego zamętu myśli i wrażeń, co bywa zwykłem następstwem i karą nagannego postępku, nieprzezwyciężona senność omgliła zmysły moje. Wkrótce też zasnąłem głęboko.

(C. d. n.)

*) Mahomet Alamar król Grenady, był założycielem Alhambry w połowie 13go stulecia.

# Głębia morza i głębia powietrza

przez

**Dr. TOMASZA STANECKIEGO.**

(Ciąg dalszy.)

W chwili, kiedy Glaisher na wysokości 29.000 stóp ostatnią przed omdleniem wykonał obserwacyę, balon szybował w górę z chyżością tysiąca stóp na minutę, a że jeszcze przynajmniej dziesięć minut upłynęło, zanim otwarcie klapy nastąpiło, zanim przeto balon spuszczać się zaczął, w przybliżeniu więc sądząc Glaisher i Coxwell ocenili wysokość, do której się wzbili, na 36.000 stóp. To pewna, że oni pierwsi wdarli się w taką dzielnicę atmosfery, do której w najwytrwalszym zapędzie nawet kondor nie wzleci, że oni pierwsi dosięgli owej granicy, gdzie bohaterska energia woli rozbija się o nieudolność fizyczną, gdzie ujarzmiciel sił natury grozą przejęty wypuszcza z rąk wodze czytając upomnienie „Pod karą śmierci wyżej nie wolno!" Nie mogąc sondować atmosfery podobnym sposobem jak morza, usiluje człowiek drogą rozumowania opartego na spostrzeżeniach dociec tej tajemnicy, czy powietrznia ma granicę. Próbę obliczenia wysokości atmosfery na podstawie zjawisk optycznych zrobił już w XII. wieku arabski fizyk Alhazen, a ogłosił ją współczesny jego tłumacz, Vitellio, znakomity nasz ziomek. Zorza zaranna czyli świt, i zorza wieczorna zwana także zmierzchem albo zmrokiem, są skutkiem odbijania się światła słonecznego od cząstek powietrza w górnych warstwach atmosfery. Pierwszy ku ziemi odbity promień zaczyna ranną, a ostatni takiż promień kończy zorzę wieczorną. Otóż fizycy przyjmują, że takowy promień przesyła słońce znajdując się blisko 18 stopni pod poziomem. Obliczając wysokość pierwszej górnej warstwy powietrza, która już dostateczną ma gęstość do odbijania światła zorzy, ocenił Arago grubość osłony atmosferycznej na 7·92, Delambre na 9.5, Kepler na 10 mil geograficznych.

Za wzrostem odległości od powierzchni morza zmniejsza się i rozpręźliwość powietrza i siła ciężkości, pierwsza jednak prędzej niż druga; w pewnej zatem wysokości musi między temi siłami zachodzić równowaga i tam się kończy atmosfera. Na tej zasadzie opierając rachunek znalazł G. Schmidt granicę powietrzni pod równikiem w odległości 7·22 mil geograficznych, pod warunkiem, że średni stan barometru wynosi 337·5 linii paryskich, a ciepłota 22·4$^0$ R.; dla takich zaś miejsc, gdzie średni stan barometru jest ten sam, ale temperatura przy powierzchni ziemi równa się zeru, otrzymał 6·6 mil geogr. Rozpręźliwość powietrza zmniejsza się od dołu do góry z dwóch przyczyn, już to dlatego, że ciśnienie warstw górnych na dolne staje się coraz mniejszem, już i dlatego, że ciepłota się zniża. Z przypuszczenia, że termometr na każde 141·1 sążni paryskich opada o 1 stopień, wynikły powyższe wypadki. Ale Schmidt oparł rachunek i na tem przypuszczeniu, że w dolnych dzielnicach atmosfery ciepłota prędzej się zniża, aniżeli w górnych, i na tej podstawie znalazł na oznaczenie wysokości atmosfery pod równikiem 27·5, a pod biegunami 27·1 mil geogr.

Z wirowania ziemi wespół z powietrzem wynika, jak wiadomo, siła odśrodkowa, która oczywiście wywierać musi wpływ na wysokość atmosfery. Uwzględniając rzeczoną siłę doszedł E. Schmidt do tego rezultatu, że wysokość powietrzni pod równikiem wynosi 7·7, pod biegunami 5·8 mil geograficznych, jeżeli pod równikiem średnia ciepłota równa się 25° C. a pod biegunem zeru, i jeżeli pod równikiem temperatura zniża się o jeden stopień na każde 600, pod biegunami zaś na każde 500 stóp. Że skutkiem ruchu obrotowego atmosfera przybrać musiała postać sferoidy eliptycznej, i że spłaszczenie tejże jest większe niż u ziemi, nie trudno wyrozumieć. Laplace wykazał, iż stosunek największej do najmniejszej średnicy nie może być większy jak 3 : 2, a więc spłaszczenie nie może wynosić więcej nad $\frac{1}{3}$.

Pod warunkiem, że temperatura w całej rozciągłości atmosfery jest jednakowa, gęstość powietrza zmniejsza się w postępie geometrycznym, podczas gdy odległość od powierzchni ziemi rośnie w postępie arytmetycznym. Według tego prawa w odległości 9 mil powietrze jest 2500 razy rzadsze od powietrza znajdującego się przy powierzchni morza, a w odległości 30 mil 4 biliony razy rzadsze!

Wszyscy prawie uczeni tegoczesni uznają to za rzecz niewątpliwą, że meteory kosmiczne dopiero wtedy widzieć się dają, gdy wpadną w atmosferę naszego planety. Profesor Weiss w rozprawie swej o gwiazdach spadających podaje jako średnią wysokość, w której się zjawiają meteory sierpniowe, 115 kilometrów, a jako średnią wysokość, w której gasną, 88 kilometrów. Newton, profesor w New-Haven ocenia średnią wysokość miejsca ich pojawu na 155 kilometrów, a miejsca przygaszania na 98 kilometrów. Wysokości te sięgają daleko poza granicę, jaką teorye opierające się na własnościach powietrza wyznaczają. Schiaparelli, dyrektor dostrzegalni astronomicznej w Medyolanie, nie waha się utrzymywać że atmosfera przenosi 200 kilometrów, a jego twierdzenie znajduje poparcie w obserwacyach, jakie ostatniemi laty robiono w Ameryce, jużto zajmując się polaryzacyą światła atmosferycznego, już też oznaczeniem wysokości łuku zorzy północnej.

Quetelet dzieli atmosferę na dwie warstwy, którym przypisuje odmienne własności. Dolna warstwa jest według jego hipotezy widownią zwykłych zjawisk meteorologicznych, górna zaś zorzy północnej i gwiazd spadających. Tam w tej górnej, nieruchomej i żadną burzą nie zamąconej warstwie, do której żadna nie wznosi się chmura, części składowe powietrza mogą się układać jedno na drugiej stosownie do gęstości; być może nawet, że na tych kresach atmosfery rozmieściły się gazy bardzo lekkie, które z materyami poniżej rozpostartemi ani się łączą ani mięszają. (Dok. n.)

---

# MĘCZENNICY FANTAZYI,

NOWELLA

z niemieckiego

## LUDWIKA FOGLARA.

(Ciąg dalszy.)

Zuzanna wyrzekła to imię z badawczem spojrzeniem, a ten co je nosił zwolna powracał cienistą ulicą. Zuzanna poszła na jego spotkanie, czując, że towarzyszce potrzeba kilku chwil skupienia i samotności.

Spojrzenie w głąb własnej duszy wstrząsnęło całą istotą Almy — spokój jednak choć przemocą wywołany musiał nastąpić. Przepadło, co raz przeszło przez usta człowieka.

Zuzanna z przyjacielem przechadzała się wzdłuż parku nad wybrzeżami strumienia. Chmura troski okrywała jej czoło, a ciężar powziętego postanowienia uciskał serce. Rozmowa z Orbesem zmusiła ją stanowczo spojrzeć w przyszłość. Cały czar swobodnego życia okryty został posępnemi troskami. Jak po uderzeniu gromu świat był już dla niej odartym z bożyszcz, naga rzeczywistość sterczała urągająco w obec jej fantazyi, a przeczucie złamania w walce z ustawami świata wzrastało olbrzymio w jej potężnem sercu.

Frydryk poglądał na nią pełen zdziwienia, przybywał w tej chwili szczęśliwy, że może się podzielić najmilszymi pomysłami ognistego umysłu, że w słowa ujęte wypowie wszystkie nagromadzone w sobie burze namiętności—i w tej chwili poczuł, że stoi przed zatrzaśniętemi wrotami jakiejś tajemnicy. Pierwszy raz odważył się ucałować rękę Zuzanny, spojrzenia ich błyskawicą się spotkały i Frydryk w tej samej chwili mimowolnie runął na kolana przed ubóstwianą niewiastą... Zuzanna strwożona spojrzeniem rozkazała mu, by pohamował wezbrane uczucia. Zwolna i cała drżąca, dążąc ku domowi, czasem się chwilowo zatrzymując, przemawiała niekiedy głosem wpół martwym:

— Przyjacielu duszy mojej, jeżeli chcemy pozostać sobie, czem jesteśmy — i na wieki będziemy — pozostaje nam jeden środek — szybkie rozstanie!

Frydryk spłonął — słowa zamarły mu na ustach. Zuzanna mówiła dalej:

— Żyją wśród nas i w koło nas ludzie, których w losy nasze wikłać nam nie wolno. Losy ich splecione nitką, którę dzierży nasza wola! Wolność wyniesienia się nad nasze stosunki jest wszystkiem, co nam pozostać może z rozbicia naszego osobistego szczęścia. Ideał wymaga boskiej ręki, my nędznicy możemy go przeczuć, poczuć, cierpieć zań i ponieść męczeństwo—ale urzeczywistnić go nie zdołamy i to dla dogodzenia tylko naszemu w nim rozmiłowaniu... Frydryku! nie mamy—prawa! bo ideał ten nas uszczęśliwiający stanąłby na gruzach „ich" szczęścia. Można z podobnej myśli być szczęśliwym, ale nikomu nie zazdrościłabym smutnego jej urzeczywistnienia. „O Diotimo! Diotimo! ta godzina!..." Zostaw mi to imię, przyjacielu, które na chrzcie ognistym dała mi twoja Muza, niechaj żyje w pomysłach twórczości twojej, dla mnie ono nie będzie stracone, szczęśliwa będę każdem twojem zwycięstwem, żadna odległość czasu ni przestrzeni wydrzeć mi nie zdoła tego daru przyjaciela, tego w czem się objawił jego geniusz w gromowych chwilach natchnienia!...

— Puszcza dzika rozlega się przedennią, niebo moje fatalnie się zachmurza i mógłbym zazdrościć robakowi, który wypełnił zakres jednodniowego żywota...

Jakże pamiętne są mi teraz słowa mojej matki: „Kropla rozkoszy jest morzem boleści!“

— Bądźmy sprawiedliwymi Frydryku—morze rozkoszy, szczęścia i radości przeszło, przeszumiało spienionemi falami, teraz kolej na kroplę boleści i goryczy!...

— Dość wielka, by w niej zostać pochłoniętym... oh! kędyż ujdę przed myślą utracenia... ciebie? Diotimo!...

— W poświęcane gaje, kędy piękność przebywa, kędy świetlana aureola otacza oblicze—prawdy! Bogowie dali Ci szczęście bycia prorokiem światów jeszcze nie skażonych, utwierdzania wiary w związek ziemi z przestworzem ducha, podniesienia istoty swojej i współbraci w kształtach piękności, w służbie Muz!... Służba nie lekka—ale zazdrości godna! Wspomnij na chwilę, kiedy Ci rzekłam: kogo Bogowie ukochali, temu dali wielkie cierpienia na to, by większa radość stała się jego udziałem!

— Gromadzi się ciężka chmura nademną! czuję, że mnie zgnieść musi, jest mi jak gdyby zaćmiły się zmysły moje i jakby błękitna przesłona niebios rozdarła się z góry aż do padołu ziemi... słońce moje zapada na zawsze, a chaos roztacza się nad duszą moją.“

Zuzanna twarz ukryła w dłonie, jasne łzy wybuchły strumieniem z jej pięknych oczu, oparła się o białą kolumnę, której się chwycić musiała. Frydryk zapatrzony przed siebie stał niemy i obrywał listki w pół rozkwitłej róży...

Zmierzch zapadający otaczał coraz ciemniej grupę zasmuconych... Alma zbliżyła się zwolna ulicą lipową, niewinny wyraz jej duszy odanielał się w twarzy prawie dziecinnej, na którę wracać się zdała odrodzona wesołość. Uczynione wyznanie ulżyło jej sercu, dodało mu otuchy, uwiła tymczasem wieniec dziwnie piękny, z najbarwniejszych dobrany kwiatów i oddając go poecie, rzekła:

— Teraz przeczytaj nam co z Hyperiona!

Niepodobieństwem zdało się młodzieńcowi zwalczyć wszystkie nim miotające uczucia, mechanicznie stąpał za kobietami ku bliskiemu pawilonowi, ale nie mógł z całości swego utworu dobrać ustępów, któreby sprzągł w ład osobny... Złamanym głosem czytał oderwane ustępy, które dziwnie licowały ze stanem jego ducha — były one istną ilustracyą cierpienia, które ich tak szczodrobliwie i tak równo obdzieliło wszystko troje.

„Jest pewne zapomnienie wszelkiej obecności — czytał zwolna Frydryk — pewne oniemienie całej naszej istoty, kiedy nam jest tak, jakbyśmy utracili w s z y s t k o! noc to złowieszcza dla serca, w której ani jednej gwiazdy nie ma dla nas, nawet pruchno złamanego wpółzgniłego pniaka, co niegdyś szumiał w powietrzu wspaniałem drzewem, nie raczy nam zabłysnąć w takiej chwili. Jest to stan zbolały, który niema równego sobie, rozkład uczucia, w którym życie nasze, traci wszelkie znaczenie, kiedy już serce powie sobie stanowczo: musisz pójść na dno! i nic nie zostanie po tobie, ani kwiatek przez cię sadzony, ni chata wzniesiona, nic, nic nie zostanie po tobie na ziemi! Cierpiący niech nie pyta ulgi u zimnego lekarza, ani u chłodnego mnicha, kiedy sam przepada w sobie; ale niech ucieknie wspomnieniem w przeszłość wiosny, dni swoich radosnych i kwitnących, a z nich jeszcze, wykwitnąć mu może kwiat przyszłości! W takich chwilach niekiedy, najczarniejsza chmura właśnie nad człowiekiem zawisła rozdziera się sama — i zwątpionemu niespodzianie odsłania świetlane błękity nieba!“...

„Czem są wszystkie myśli i czyny lat tysiąców, zdziałane przez człowieka, w obec jednej chwili — miłości?... Ona jest arcydziełem stworzenia najdoskonalszem, ku niej prowadzą wszystkie stopnie żywota — ztamtąd idziemy — tam dążymy.“

„Miłość świat zrodziła — przyjaźń go odrodzi. Z harmonii dziecięctwa wyszły ongi pierwotne ludów pokolenia — harmonia duchów stanie się kiedyś prawem bytu, historyą przyszłości.“

„Pierś moją zaprawiać będę w zapasach przeszłości, aż będzie kutą ze stali; ćwiczyć ją będę — aż stanę: niezwyciężonym! — albo padnę wśród walki“.

„Kwiaty serdeczne wymagają dziewiczego pielęgnowania, korzenie ich przebywają wszędzie, ale one same tylko w ciepłej dobie rość mogą“.

„Słońcem jest człowiek, jasnowidzącem, oświecającem i ogrzewającem — kiedy kocha! a jeźli nie kocha, jest brudną izbą w której przyświeca lampka cuchnąca...“

„Bywają wielkie ustępy w życiu naszem, które podziwiamy sami — jak heroów starożytności, walczymy z nimi, a jeźli im dotrzymamy kroku i dostoimy w walce, one stają się siostrami nam, i zostają nam wierne!“

„Kto cierpi bez granic—dla tego nie ma granic.“

„Chętnie poświęcamy własne uczucia, kiedy cel wielki widzimy przed sobą.“

„Szczęśliwy czyje życie przeplata się serdeczną radością i walką szlachetną!“

„Kto całą duszą działa, w działaniu jest — nieomylny. Nie potrzebuje liczyć się z półśrodkami, bo nic ma potęgi którа by się przed taranem jego woli ostała.“

„Mowa, jest zbyteczną.—To co w nas najlepszego, to zawsze pozostanie w naszej głębi, niedojrzane, jak perła na dnie morskiem.“ (C. d. n.)

## Przegląd literacki.

**Bolesław Chrobry**, przez Augusta Mosbacha. Poznań. Nakładem J. K. Żupańskiego 1872 8vo.

Jedną z tych wielkich postaci dziejowych, będących przedmiotem podziwu współczesnych i potomnych pokoleń, był nasz Bolesław Chrobry, rzeczywisty twórca i założyciel Polski. Z natchnieniem opowiada jego dzieje najstarsza polska kronika, niemniej uwielbiają go wszyscy późniejsi polscy historycy. Nestor przyznaje, że Bolesław był „chrobry i zmyślny“, a biskup merseburski Thietmar, jakkolwiek wróg zacięty, pozostawił w swej kronice najwymowniejsze świadectwo jego wielkości i chwały. Nowsi dziejopisarze niemieccy jak Roepell i Giesebrecht nazywają Bolesława „bohaterem, potężnym władzcą, największym zdobywcą swojego wieku.“

Takim był następca Mieczysława Igo, owego księcia, za którego Polska pod przewagą broni niemieckiej stanęła w rzędzie krajów hołdowniczych cesarstwa. Ale Bolesław, znając dokładnie stosunki sąsiednich Niemiec umiał wybornie z nich korzystać, a łącząc coraz więcej ludów słowiańskich pod swem berłem, z małego księstwa utworzył potężne państwo od Bałtyku do Dunaju, od Elby do Bugu.

Zrazu utrzymywał Chrobry z Niemcami stosunki przyjaźni i uległości, atoli po śmierci Ottona IIgo rozpoczęła się owa pamiętna walka, w której Bolesław pomimo przewagi liczebnej i cywilizacyjnej cesarstwa świetne odniósł zwycięstwo i na zawsze złamał przewagę Niemców nad Polską.

Sposób prowadzenia wojny Chrobrego ma pewne wyłączne, właściwe mu cechy: śmiało uderza na nieprzyjaciela, konne pułki Bolesława zapuszczają się daleko w głąb Niemiec, szeroko pustoszą kraj nieprzyjacielski, uprowadzają tłumy jeńców i bogate łupy. W razie wtargnięcia nieprzyjaciół trzymają się Polacy systemu wojny odpornej; przekupieni przewodnicy długo oprowadzają wojska niemieckie przez moczary i bagna, w okolicach lesistych na przeciągających Niemców wszędzie czyhają zasadzki, nieustanne podjazdy w drobnych utarczkach nużą wojsko nieprzyjacielskie, w końcu brak żywności i groza ciągłych niespodziewanych napadów zmusza nieprzyjaciół do odwrotu. Na uchodzących ze wszech stron uderzają Polacy: powszechna klęska kończy wyprawę.

Przy ówczesnym braku środków komunikacyjnych i trudnościach w pochodzie liczniejszego wojska podobny system wojowania zręcznie wykonywany świetne zapewniał powodzenie; ale nie tylko w ten sposób zwalczał Bolesław swoich przeciwników. Brzękiem złota, gościnnością i „słodką namową“ licznych jednał sobie stronników na dworze niemieckim, przez nich miewał dokładne wiadomości o najtajniejszych planach Henryka, przez swoich zwolenników wzniecał zatargi i walki domowe w łonie samego cesarstwa i wybornie z tych walk umiał korzystać.

Po takiej charakterystyce stosunków Chrobrego do Niemiec streszcza autor powyżej przytoczonego dziełka historyę wojen Bolesława z Czechami, na Rusi i w innych krajach sąsiednich.

Już w pierwszych latach swego panowania zdobył Bolesław Pomorze od Odry do Wisły i sąsiednich Prusaków zmusił do uległości. Po śmierci księcia czeskiego Bolesława Okrutnego odzyskał ziemię krakowską i zagarnął zatatrzańską Chrobacyę. Po Bolesławie okrutnym objął rządy w Czechach Bolesław Rudy, dla swych prześladowań wkrótce przez poddanych znienawidzony. Chrobry uwolnił Czechów od ich okrutnego księcia i Czechy połączył z Polską. Ale Czesi, poduszczeni przez braci Bolesława Rudego, Jaromira i Oldrzycha i poparci całą potęgą cesarstwa, wypędzili Polaków przenosząc zwierzchnictwo cesarzy niemieckich nad połączenie z Polską.

Z Rusią zostawał Bolesław przez długi czas w stosunkach ścisłej przyjaźni: jedną ze swych córek wydał za Świętopełka, najstarszego syna w. księcia Kijowskiego Włodzimierza. Z księżniczką polską przybył na Ruś biskup Kołobrzeski Reinbern i usiłował rozszerzyć pomiędzy Rusinami obrządek katolicki. Te zabiegi oburzyły Włodzimierza; na jego rozkaz uwięziono Świętopełka wraz z żoną i polskim biskupem. Wówczas przedsięwziął Chrobry pierwszą wyprawę na Ruś. W dwa lata później umarł Włodzimierz, Świętopełk jako najstarszy objął rządy, ale wkrótce wypędził go jeden z młodszych braci, Jarosław. Zięć Bolesława w Polsce szukał przytułku i pomocy. Bolesław z licznem wojskiem powtórnie wyruszył do ziemi ruskiej, zwyciężył Jarosława nad Bugiem i po krótkiem oblężeniu zajął Kijów. Tutaj osadził na tronie wielkoksiążęcym swojego zięcia i po 10-miesięcznych ucztach wrócił do Polski uprowadzając tłumy jeńców i bogate łupy. W powrocie powtórnie rozgromił pułki Jarosława i zdobył grody czerwieńskie przed czterdziestu laty przez Włodzimierza oderwane od Polski.

W drugiej połowie swej rozprawki daje nam autor obraz wewnętrznych stosunków w Polsce za Bolesława. Dzielny ten władzca starał się nie tylko pomnożyć potęgę narodu, ale zarazem podnieść oświatę, rozkrzewić światło wiary. W tym celu usilnie pracował chcąc wykorzenić dawne zwyczaje, zabytki czasów pogańskich, sprowadzał z Włoch i Niemiec duchownych, liczne budował kościoły i klasztory. Obok kościołów wznosiły się warowne zamki, stare grody nowymi otaczały się murami. Wśród lasów na korczowiskach nowe powstawały osady. Zamożność ludu wzrastała, gdyż Bolesław poddanych nie uciskał, a przeciw swawoli możnych i najbiedniejszy znalazł u niego obronę. Dla łatwiejszego zarządu i obrony kraju powznosił Bolesław liczne grody i zamki: w nich zbierały się pułki pancernych i tarczowników; tu składał lud okoliczny daniny; tutaj naczelnik grodu, kasztelan wymierzał w imieniu króla sprawiedliwość.

Bolesław lubił życie wesołe i ruchliwe; wyprawy wojenne i pyszne biesiady zmieniając się kolejno zwykłem były dlań zajęciem. Słynął z gościnności a niepospolitemi zaletami zyskał szczególną miłość całego narodu.

Oto treść rozprawki p. Mosbacha. Autor nie podaje tu żadnych faktów nieznanych, ani nowych poglądów. W pierwszej połowie daje charakterystykę stosunków Bolesława do krajów sąsiednich, trzymając się głównie badań Szajnochy, niekiedy parafrazując nawet ustępy z prześlicznej powieści niedawno zgasłego historyka. W drugiej połowie kreśli obraz stosunków wewnętrznych w Polsce za Chrobrego. Oprócz kilku porównań z stosunkami sąsiednich Niemiec streszcza p. M. poglądy Szajnochy i Roeplla, tem się głównie różniąc od swoich mistrzów, iż *jurans in verba magistri*, podaje jako rzeczy udowodnione ich przypuszczenia (jak n. p. o podziale Polski na Kasztelanie), które jakkolwiek umotywowane, są przecież tylko hipotezami. *Dr. Alexander Hirszberg.*

# KORESPONDENCYE.

## **Kraków**, w Marcu.

(Kronika artystyczna. — Malarze Krakowscy. — Wystawa obrazów. — „*Venus*“ reklamowa. — Rzeźbiarze. — Muzyka. — Teatr. — Pomniki Krakowskie.)

Żadne miasto w Polsce nie sprzyja tak rozwojowi sztuk pięknych, jak Kraków. Wynika to z natury stosunków i potwierdzonem jest przez historyę. Miasto pamiątek i pomników, gdzie całe dzieje zaklęte są w marmury po kościołach i w starożytne budowle, miasto wielkich tradycyi radośnych i smutnych, miasto chwały i ruiny, które jest Panteonem przeszłości, a zarazem „arką przymierza“ między dawną a przyszłą Polską — miasto to otoczone jest tą aureolą uroczystą, tą płodną atmosferą dla głębszych umysłów i podniosłych serc, że nic dziwnego, iż piastuje ono zawsze w łonie swojem artystów, zasila ich ducha pożywną treścią i wysyła jako istna metropola na wszystkie strony kraju, aby dawali świadectwo prawdzie i pięknu — i żywotności ducha narodowego. Tutaj dojrzewa w całym toku dziejów zarówno historya jak sztuka polska, począwszy od Długosza i Wita Stwosza.

Tej ruchliwości i rzutkości, które odznaczają Warszawę i Lwów, nigdy Kraków nienabędzie, nowe społeczeństwo, które go zaludnia, nie przemieni jego charakteru, ale raczej samo musi się dostrajać do tego poważnego tonu, jaki tutaj dzieje, tradycya i sztuka na całem życiu wyciskają. Nie wińmy więc miasta trzech mogił o pewien zastój i nieruchomość, ale raczej wsłuchujmy się w tę jego ciszę pełną zawsze pracy i patrzmy za jej owocami.

Artystyczne pokłosie od kogoż zacząć jeżeli nie od Matejki, którego płótna noszą zawsze to genialne piętno wiekowej trwałości, jak marmury Stwosza. Od dwóch

lat pracuje on nad olbrzymim obrazem przedstawiającym Rzeczpospolitę u szczytu potęgi uosobistnionej w Batorym i Zamojskim. Scena w obozie po zwycięstwie pod Wielkiemi Łukami, gdy poselstwo moskiewskie konwojowane przez jezuitę Possewina przybywa od Jana Groźnego z prośbą o pokój. Dzisiaj muszę się ograniczyć na tej wzmiance, zanim obraz publicznie nie będzie wystawionym. Obok tej pracy wykończył Matejko kilka pomniejszych, a mianowicie portretów, z których jeden ś. p. prof. Gilewskiego obecnie jest wystawiony. Nie przestaje też Matejko zasilać illustrowane pisma rysunkami, w których śmiałymi pociągami odtwarza ze starych pieczęci historyczne postacie. „Unię Lubelską“ zakupił w Londynie hr. Działyński za 40000 franków. Z rówieśników Matejki mało który jest obecnie w Krakowie. Kotsis, ten Lenartowicz malarstwa, Gryglowski, ten czarodziej perspektywy i poezyi architektonicznej podróżują — z dawniejszych prac Gryglewskiego oglądamy na wystawie „Wnętrze kościoła Panny Maryi“ o którem słyszałem zdanie, że piękniejszem jest jak sam kościół. Izydor Jabłoński, specyalista w malarstwie religijnem, malarz kościoła Misyonarzy, odnowiciel bizantyńskiej kaplicy na zamku zamieszkał na uboczu, na Skałce, zkąd obrazami zasila kościoły galicyjskie, starając się wypleniać z nich częstochowskie bohomazy. Innych artystów potrzeba nam szukać na wystawie. Pisałem wam już, że nepotycznie urządzone Tow. sztuk. piękn. zraziło sobie stanowczo najpierwszych naszych artystów z Matejką na czele. Zerwanie to oddziaływa nader niekorzystnie na wystawę, i jeżeli nie nastąpi gruntowna reforma Towarzystwa, upadek jego jest niechybny. Obrazy przybywają bardzo skąpo, publiczność zaczyna zapominać o wystawie, tak że towarzystwo chwyta się już sztucznych środków. Niemniej jednak niepożałuje nikt odwiedzenia wystawy. Bo oto wiszą tam jeszcze: „Skarga“ Matejki, „Litwa“ Grottgera i kilka iego mniejszych a równie głębokich szkiców. Nadto do celniejszych obrazów, które tam znajdujemy należą Kozakiewicza: „Lekcya dziadunia“, który wnukowi objaśnia dzieje karabeli, Streita „Powrót po rodzinnej zagrody“ dwóch tułaczów - rycerzy, którzy ją zastają w ruinach — obraz rzewny, dobrze rysowany, zepsuty trochę monotonią tła, Simmlera śliczny portret panny młodej, Grabowskiego portrety o wybornej karnacyi, Świrzyńskiego: Kaplica Lipskich, obraz nader prawidłowy, ale bez poezyi światła właściwej Gryglewskiemu, Eliasza „Politycy“ dobry pomysł, ale zamało typowości w osobach, Kaplińskiego portret charakterystyczny hetmana Chodkiewicza. Owym sztucznym środkiem, o którym wspomniałem, było sprowadzenie okrzyczanej *Venus anadiomene*. Nie będę się o niej rozpisywał, gdyż w kronice wiedeńskiej umieściliśce już sprawiedliwą jej ocenę. Dodam tylko, że szczegółów jest wiele tam pięknych — inne zbyt drobiazgowe, w całości brak wszelkiej samodzialnej fantazyi, mdłe i jednostajne tło, nagości obliczone są na efekt u giełdowego świata w Wiedniu i w Berlinie — wcale jednak nie są poezyą opromienione. Lecz ściąga ta Venus tłumy męzkiej publiczności...

Rzeźba w Krakowie, która ucierpiała przez usunięcie się ztąd Filipiego i Gadomskiego — poczyna się znowu budzić. Przybył do nas Stattler i wykonuje obecnie popiersia Lelewela i Matejki, z młodszych wielkie robi postępy Eliasz (brat malarza) i Trembecki. Ostatniego grupa (oczywiście tylko odlew gipsowy) „Góral sprowadzający z góry po ścieżce dziewczynę“, jest prawdziwie piękną i zasługuje na rozpowszechnienie. Tutaj wypada też zapisać, że ołtarz drewniany Stwosza w kościele Panny Maryi zupełnie już odnowiony przez Wakulskiego i zabezpieczony jest znowu na dalsze wieki przed zniszczeniem.

Oddział archeologii i sztuk piękn. Tow. nauk. rozpoczął też już wydawnictwo pomników Krakowa w *fotodrukach*. Nowy ten wynalazek odda ogromne usługi sztuce. Zeszyt wydany obejmuje na 3 kartach ołtarz Stwosza, przepyszny nagrobek brązowy z kościoła Panny Maryi, ze zamku zaś grupy Wojciecha Glimma ze srebrnego ołtarza w kaplicy Zygmuntowskiej. Fotodruki te powinny być również na wystawach zawieszone — tam jest właściwe dla nich miejsce — a piszę to *ad usum* wystawy lwowskiej. Będzie to jedno z najwspanialszych polskich wydawnictw, które się rozejdzie po Europie.

Przechodzę do muzyki, która zwykle w czasie postu dzielniej się objawia. Mieliśmy wspaniałe koncerty księżnej Marceliny Czartoryskej, Bylickiego, pp. Kleczyńskich z Warszawy, co miesiąc bywa wieczór *Muzy*, kilkakrotnie w różnych rolach dawał się słyszeć p. Chodecki — tylko tutejsza szkoła śpiewu kościelnego i dramatycznego ani nowet we wielki Piątek znaku życia nie dała. Muza rozwija się widocznie i postępuje — dotąd jednak właściwego kierunku i charakteru sobie nie stworzyła. Programy wieczorów są macaniem na wszystkie strony. Słusznie miejscowa krytyka wskazuje Muzie, że zadaniem jej jest śpiew choralny, wyrobienie dobrych chórów i kwartetów... — warto pracować dla tego celu, a nie zrywać się na rzeczy wielkie i na solowe produkcye — tego bowiem wypracować nie można, ale trzeba czekać, aż się zdarzą solowe głosy.

Produkcye p. Chodeckiego są nowem poniekąd zjawiskiem: deklamacya i muzyka mają się tu nawzajem ilustrować. Jest to zadanie nader trudne, Schuman zaledwie go próbował. Publiczności w ogóle podobał się p. Chodecki — słysząc go raz doznaje się silnego ataku na nerwy i bierze tę senzacyę za artystyczne wrażenie. P. Chodecki deklamuje przeważnie rzeczy liryczne — tu głos zwykły nie wystarcza — tu trzeba albo śpiewać — i pod wpływem akompaniamentu wpada też p. Ch. niby w śpiew — albo potrzeba deklamacyi dramatycznej z giestami i scenerya. Pasaże i tryle przerywające wykrzykniki w żaden sposób harmonii wytwarzać nie mogą, jedno drugiemu przeszkadza — kilku takich ataków wytrzymać niepodobna. Jedynem polem dla takich produkcyi może być epos, ballada, wygłaszane nie z towarzyszeniem muzyki ale z jej przygrywką — może nakształt dawnych bardów. Minnesingerowie nie deklamowali, ale śpiewali. Pan Chodecki rozporządza potężnym głosem, uczuciem, ale użyć ich jeszcze nie umie — rzekłbym, że sobie jeszcze z natury swoich produkcyi sam sprawy nie zdał. Uwagami temi radbym właśnie pobudzić jego estetyczną refleksyę. Przed kilku laty deklamowała w Krakowie pani Modrzejewska „Piękną Jadzię“ (przekład Alfa) z muzyką Szumana — i ona nie wywarła głębszego wrażenia, — o tajemnicę tego niech jej zapyta p. Chodecki. A przecież ona deklamowała przy cudzym akompaniamencie. P. Chodecki zaś sam siedzi przy fortepianie — więc język kłamie głosowi, głos rękom, ręce fortepianowi — i z wszystkiego robi się tylko chaotyczna wrzawa i wszechstronne kłamstwo.

Na zakończenie nieco o teatrze. Tegoroczny repertoarz jest świetnym — okazuje wyzwolenie się z pod despotyzmu Sardou i Dumasa, zamało jednak uwzględnia polskie utwory. Wykluczenia, o których wspomnieliście w Przeglądzie dramatycznym, stosują się bez wyjątku do Krakowskiego teatru. Jest to pierworodny grzech dyrekcyi, który w znacznej części jest przyczyną małej dramatycznej produkcyjności u nas. Zresztą repertoarz składali: Molier (Skąpiec), Musset (*On ne badine pas*

*avec l'amour*) — Szekspir (Hamlet) — Schiller (Wallenstein) — Halm (Wildfeuer) — Weilen (Hrabia Horn) — Słowacki (Beatrix Cenci, Balladyna) — Bogusławski (Spazmy modne) — Mickiewicz (Konfederaci). Oto szereg imponujący — a jeżeli które przedstawienie nie dorównało dziełu, to przecież nie było sparodyowanem a to już wielka rzecz. Obecnie utraciliśmy p. Ładnowskiego — kto go zastąpi? nie wiem — inne jednak role (prócz kochanków) mają dobrą obsadę, gdyż i tu Kraków działa po swojemu — wytwarza artystów. Z młodszych wiele obiecują panna Urbanowicz, pp. Skąpski, Zboiński... Lwowskiemu teatrowi życzę, iżby jako próbę sił swoich wystawił „Konfederatów“ Mickiewicza; sztuka ta bowiem, ten olbrzymi fragment, winien być co roku kilka razy na polskich scenach dawanym.

*Asz.*

# PRZEGLĄD TEATRALNY.

(*„Otello“*).

Silnemi były dusze i silnymi nerwy u ludzi w XVI wieku, dla których Michał Anioł malował „Sąd ostateczny“ a Szekspir pisał „Andronika“ i „Otella“. Publiczność dzisiejsza przekarmiona drobnostkami scenicznemi, zdumiewa się, słupieje z grozy, ujrzawszy przed sobą taki wyuzdany orkan namiętności, takie postacie o kształtach Cyklopów, jak w „Otellu“. Nie mniej przeto czar ducha, zaklęty w tych formach, przemaga apatyę zrodzoną wrażeniami dnia, zdobywa przebojem duszę słuchacza, targa jego wnętrznościami, a słuchacz oddaje się w pokorze władztwu potężnego wrażenia, bo czuje intuicyjnie, że ulegając mu, wstępuje na wyżyny ludzkiego ducha. Taki już porządek rzeczy—wielkość nie kapituluje przed Pigmejczykami. Zdaje mi się, że trafnie nakreśliłem wrażanie, jakiemu ulegała publiczność na ostatniem przedstawieniu „Otella“ (we środę d. 3. b. m.).

Nie mogąc tu pisać studyum o tej tragedyi, która ich już tyle wydała, ograniczę się tylko na rozbiorze gry artystów, a może i tam znajdę niejedną sposobność do rzucenia poglądów ogólnych.

Co to jest Otello? Pokrótce — jestto murzyn, który poślubił córkę weneckiego senatora, piękną Dezdemonę, a uwierzywszy oszczerstwom Jagona, że go zdradziła, dusi ją w jej własnem łożu... Oto szkielet — komuż historya ta nie wiadoma? sam nawet Szekspir układając zarys treści, nie silił się na wynalazek własnej fantazyi, ale wziął pdwieść ze zbioru nowell Giralda Cinthio. Co tam jednak powieść?... Nie ona uczyniła z „Otella“ utwór mistrzowski, ale rysunek charakterów i namiętności tu przedstawionych w takiej pełni i takiem wykończeniu, jak nigdy już potem. Szekspir głęboko pojął i zupełnie owładnął istotę tragiczności, a w „Otellu“ dał nam może najprzedziwniejszy jej wzór poetyczny. Im postać bohatera jest zacniejszą, im moralny interes, który on przedstawia, jest wznioślejszym, tem bardziej wstrząsającą jest tragiczność w chwili, gdy bohater ten cierpi i upada. Natury tak z gruntu przewrotne i z wszelkiego moralnego poczucia wyzute, jak Franciszek Moor, Ryszard III, Mulej Hassan, Lady Makbet mniej budzą interesu dramatycznego i współczucia, bo zanadto mało pierwiastków ludzkich mają w sobie; ale w „Otellu“ jednoczy się w dziwnie kunsztownem zespoleniu najczystsza ludzkość z najwyższem cierpieniem. A że wrażenie ztąd wydobyte byłoby nazbyt przytłaczającem dla cnotliwego widza, srogość położenia łagodzi się — Otello, ów „Tytan boleści“, popełnia zbrodnię a wtedy cierpienie jego przybiera już tylko formę expiacyi.. Śmierć Otella staje się tryumfem etyki wyższej po nad wszelką namiętność. I oto jest największe słowo tragiczności. Bohater szlachetny, wzniosły nawet, cierpi srodze — ale cierpi, bo srodze zawinił. A tak, jakimbykolwiek wstrętem przejmowała nas zbrodnia Otella, nikt nie powie, że to umysł nikczemny — nikt od jego zjawiska nie odwróci się z oburzeniem, a tylko ze współczuciem. I cóż to za ironia losu wiąże się z ową tragicznością położenia! Otello mordując żonę, którę posądza o wiarołomność, łudzi sam siebie że broni moralnego porządku świata, wiązań budowy społecznej, bo świętości małżeńskiego związku — a tymczasem ofiara jego zemsty — Dezdemona — jest czystą, porządek moralny nie został nadwerężonym — aż przez niego.. Pojmujemy, jakiego ciosu doznać musiał gmach duchowy tego człowieka, który myśląc, że bronił najwyższych interesów ludzkości, sam stał się wyrzutkiem społeczeństwa. W tem przykrem złudzeniu siebie leży drugi powód głębokiej tragiczności w „Otellu“. Całą siłę poetyczną i piękność moralną czerpie on właśnie z energicznej obrony tego wyższego ładu, który widzi zdeptanym przez Dezdemonę. Tak wspaniałe tło obyczajowe umiał podłożyć Szekspir pod brutalną namiętność murzyna, która bez niego nabrałaby cech zwierzęcych. Mniejsza o to, że Dezdemona jest czystą a Otello wierząc podszeptom Jaga, popełnia czyn nieusprawiedliwiony — to rzecz jego sumienia; ale sumienie publiczne widzi w nim istotę szlachetną, ulegającą tylko fatalizmowi wypadków i demonicznej sile własnej namiętności. Jest ten Otello znakomitym etykiem, i zna wieczyste prawo moralnego porządku, jak nikt drugi... Gdy mu się zdaje, że Dezdemona popełniła zbrodnię — zabija ją, gdy widzi, że sam popełnił zbrodnię — zabija siebie... Murzyn nie zna subtelnych kar na występek — nie jestto natura połowiczna, w środkach przebierająca — przez świat kroczy, jak huragan... Rozumie tylko rolę sztyletów i jataganów. Tak to jednak namiętność Otella jest ułagodzoną instynktem zacnym, drzemiącem na dnie jego duszy — postać Otella rośnie tem bez miary, bo motywem czynów jego nie jest tylko tylko subjektywne poczucie, że j e m u się stała krzywda, ale objektywny pogląd na prawo wyższego ładu świata, które nakazuje każdemu człowiekowi karać zbrodnię — gdzie ona tylko się pokaże... Tyle słów powiedzieliśmy na to, aby obronić Otella przed trybunałem sumienia etycznego i poetycznego.

Dwa pierwiastki stanowią tło tego charakteru i wymagają uwydatnienia w grze — one to powinny przedzierać się przez każdy ton wyrzucony z piersi Otella, przez każdy ruch jego twarzy i postaci. Otello musi mieć cechę h e r o i c z n ą człowieka, który siłą własnych zasług wyniósł się ponad gmin i dostąpił najwyższych zaszczytów w państwie — i cechę a f r y k a ń s k i e j n a t u r y, dzikiej niby a przecież ułagodzonej promieniem miłości ku Dezdemonie. Prześliczny to kontrast... Otello, lew pustyni, owiany łagodnem tchnieniem uczucia ułaskawia się, chropawość jego wygładza się, wewnętrzna burza nurtująca w nim ciągle usypia i cały charakter nabiera pewnego harmonijnego zaokrąglenia swych przedtem nazbyt szorstkich konturów... W miłości rozpływa się Otello, jednoczy duchowo z Dezdemoną i ztąd to, gdy ją posądził o wiarołomność, istota jego cała się rozdwaja, umysł wyrzuca się z równowagi i traci ochotę do życia, powtarzając cudownie skeptycyzm Hamleta. Otello musi więc być w pierwszym akcie łagodnym, a dopiero obudzenie się podejrzeń i wybuchająca zazdrość wznieca w nim

wszystkie drzemiące demony, wrodzona zapalczywość natury owłada go zupełnie, wyczerpuje fizycznie i duchowo, ognistą werwę jego fantazyi czyni kartą spłowiałą, przeprowadza do progu zbrodni — i gruchoce Dezdemonę, Jaga, samego Otella — wszystko!... Spełnił się znowu wielki fakt moralny, w którym zwyciężyła prawda Boża...

Rolę Otella grał p. Bolesław Ładnowski. Pojęcie nasze tak zupełnie jest zgodnem z jego pojęciem tej roli, że krytyka tym razem musi być tylko scharakteryzowaniem całości stworzonej przez artystę — a nie polemiką. Tyle więc tylko powiemy że p. Ł. wystudyował z drobnostkową subtelnością wszelkie fazy w rozwoju wewnętrznym Otella, wszystkie przejścia namiętności powiązał ze sobą logiczną nicią, tak, że w oczach widza ta postać wychylała się z pierwszych półmroków, jak z mgły rannej, nabierała kolorytu i siły, rosła w olbrzymie kształty, i ani na chwilę nie ustąpiła z wyżyny, na której raz ją postawił artysta. Ani jedna scena nie była słabszą, a każda głęboko przemyślaną. Pierwiastkowy spokój i pewność siebie, szlachetna godność postaci przypominająca klasyczne modele greckich bohaterów, a potem ten cały przebój wewnętrzny od pierwszej chwili, gdy podejrzenie zostało powziętem aż do zenitu namiętności, w akcie 4tym fizyczne wyczerpanie się, pewna nawet, chociaż nie chorobliwa rzewność, przeplatana porywami wściekłości lub grotami szyderczych aforyzmów, a potem jeszcze jeden, ostatni przebłysk heroizmu świadomego swej godności, gdy umiera — oto lekki szkic tego obrazu, który potężnie i wyraziście rozsnuł p. Ł. Podziwienia godną jest estetyczna miara, jaką umie każdy krok swój nacechować, podziwienia godną mimika twarzy, nastrój miedzianego głosu, chód ociężały — no! i wszystko zresztą... Gdybyśmy bardzo zaczęli w szczegóły się wdawać, to możebyśmy prosili o jeszcze trochę więcej grandezzy heroicznej w pierwszem wystąpieniu, o więcej chropowatości w głosie (tylko w akcie I-ym), który brzmieć powinien jak wóz po grudzie jadący, o nadanie trochę jeszcze południowego żaru spojrzeniom rzucanym na Dezdemonę w chwilach roskosznego upojenia, o bardziej gorączkowe wygłoszenie zmyślonej powieści o chustce, którę Otello pragnął skończyć jak najchyżej, aby co prędzej odczytał wrażenie na twarzy Dezdemony — możebyśmy tego wszystkiego jeszcze pragnęli, ale sami wyznajemy, iż są to już żądania nazbyt wygórowane w obec gry wspaniałej, skończonej, która miała w sobie takie np. chwile niezapomniane, jak scena z Dezdemoną, gdy żąda od niej chustki a nie otrzymawszy wychodzi z bezbrzeżną pogardą, łączącą w sobie wyraz najwyższej boleści.

P. Dobrzański (Jago) oparł swą grę na bardzo gruntownem studyum, ale zdaje nam się, że za jednostronnie pojął głębokie słowa krytyków niemieckich. Gdzie należało uwydatnić humor Jaga, płynący z własnego poczucia, że jest wirtuozem w przewrotności, gdzie należało oddać rubaszność jego żołnierską, tam gra p. D. stała na wysokości zadania. W pierwszych nawet dwóch aktach to wystarczało... Bo Jago nie ma w sobie doprawdy dyabelskiego pierwiastku, a staje się wcieleniem szatana dopiero zbiegiem okoliczności, powikłaniem sytuacyi, która przerosła mu głowę. Ale gdy raz Jago przekonał się, że rzecz idzie na seryo, że w duszy Otella rozpalił nieokiełznany wulkan, który może wszystko w krąg ogarnąć, uczuwa on także całą grozę sytuacyi, owłada nim pewne drzenie wewnętrzne, niepokój o własną skórę płynący z niepewności, czy sytuacyę rozwiąże — humor jego staje się mniej swobodnym, a myśl więcej skupia i napręża... Popchnięty fatalizmem wypadków przez siebie wywołanych zrywa już z wszelkim skrupułem logiki i sumienia, a staje się—dyabłem ludzkim. Tę stronę należy uwydatnić, bo inaczej cały ton roli jest zniżonym, a wśród powszechnej grozy tragicznej, która wybija swe piętno na wszystkich twarzach, Jago zachowuje, co jest nienaturalnem, humor birbanta. Są sytuacye w życiu tak poważne, że nic się ich wpływowi nie oprze. Szatańskości było więc za mało w grze p. D., dlatego charakterystyka wydała się jednostronną, a miejsca, które w innym razie wywarłyby olbrzymie wrażenie, jak np. scena, gdy kładąc nogę na ciele omdlałego Otella, szydzi zeń, w ten sposób, przeszły mdło i bez należytego uzasadnienia.

Pani Nowakowska (Dezdemona) wlała tyle łagodności i słodyczy, tyle heroizmu cierpienia w tę rolę, ile zadanie wymagało; w grze całej uderzał urok szlachetnej miary i spokoju, w którym się przejawiała głębia kochającej duszy. Na wielką pochwałę zasługuje wreszcie gra pp. Królikowskiego (Brabantio) i Woleńskiego (Kassio), który jednak może za często deklamuje.

*Bronisław Zawadzki.*

## Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. Wkrótce zacznie się drukować w Warszawie przekład głośnego dzieła Levesa: *„Historya filozofii.“* dokonany przez uczniów warsz. uniwersytetu.

LITERATURA. *Filip Sulimierski* zasłużony redaktor *Wędrowca*, wydał dziełko: *„Przegląd najnowszych płodów piśmiennictwa polskiego 1870—1871.“* Warszawa 1872. Jest to obrachunek zdobyczy umysłowych na polu naszego piśmiennictwa z ostatnich czasów. Każda gałęź znalazła tu swoj dział odrębny, treściwie zestawiony; żałować tylko wypada, że autor, mając uwagę przeważnie zwróconą na ruch umysłowy w Królestwie, pominął niektóre ważniejsze prace, jakie pojawiły się w Galicyi, w W. Ks. Poznańskiem lub za granicą. Nazwaną książkę należy uważać tylko jako sumaryusz bibliograficzny bez głębszej wartości krytycznej, mimo to jednak odpowiada ona swemu celowi, dając świadectwo życia umysłowego w Polsce i wskazując tegoż wybitniejsze kierunki.

POEZYA. *Dr. Albert Weiss* przełożył na język niemiecki: *„Konrada Wallenroda“* (Berno 1872), *Fr. Horn* zaś *„Sonety Krymskie“* (Berlin 1872). *„Konrada“* wydał również świeżo w przekładzie włoskim *Archimedes Bottesini*, o czem wspomina *Rivista europea.* — *Czesi* żywo zajmują się przekładami cennych utworów naszej literatury. Józef Frytz tłumaczy *„Irydyona“*, dr. Zeman: *„Beniowskiego“* i *„Ojca zadżumionych w El-Arisz*, Słowackiego Ketitz, *„Listy“* i *„Noc letnią“* Krasińskiego. Fr. Szlama przełożył zaś powieść Kraszewskiego *„Bezimienna“*.

NAUKI PRZYRODNICZE. *Sidney Herbert Laing. Wiederlegter Darwinismus. Über Mr. Darwins Theorie der Abstammung des Menschen.* Przekład z angielskiego. Lipsk 1872.

TEATR i SZTUKI PIĘKNE. W Krakowie wystąpił we Czwartek (d. 4. b. m.) p. *Leszczyński*, były artysta lwowskiej sceny w „Otellu“. *Czas* bardzo podnosi jego głęboko wystudyowaną grę, przypominającą czasami sławnego Ira Aldridge. Dziś zaś przedstawią także komedyę Moliera: „Świętoszek,“ w której wystąpi panna *Marya Kwiatyńska* ze Lwowa.—W *nadw. teatrze wiedeńskim* przygotowują jeszcze w bieżącym sezonie przedstawienie pośmiertnych tragedyi Grillparzera: „Libussa“ i „Żydówka z Toledo.“ — *W teatrze opery tamtejszej* już około 15. b. m. zapowiadają wystawienie nowej opery Rubinsteina „Ferramors“; główne partye są w rękach panny *Ehnn* i pp. *Becka* i *Waltera.*

— *Repertoarz lwowskiego teatru w przyszłym tygodniu.* Niedziela: *Zbójcy*; Wtorek: *Halka*; Środa: *Szklanka wody*; Czwartek: *Pan Geldhab — Partya pikiety*; Sobota: *Faust*; Niedziela: *Poczwarka.*

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ułanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.